

Przed powstaniem Wielkopolskiej Kapeli Ludowej

AWANS PASTUSZEJ PISZCZAŁKI

TRZCINA I 7 DZIUR — U KRÓLA CHRISTIANA I KASPROWIE MIASKOWSKIEGO —
 MAZANKI I KONKURENT — ROZMAWIAMY Z WAWRZYNEM BIELAWSKIM —
 PAMIĘTAJĄCIE O DRZEWIE — 80+ 500 — OD WESTFALII DO JAROCINA — JEGO
 RADOŚĆ

Mam pisać o dudach, a ja tu zaczynam od piszczałki pastuszej... Bo prababką dud na pewno była pastusza piszczałka, późniejsza szalamaja. Proszę się tylko przyjrzeć dudom. To przecież instrument dęty o dwu piszczałkach typu klarinetowego, zadymanych sposobem mechanicznym, za pomocą „dymaki” — miniaturki miecha kowalskiego — pompującej powietrze do worka skórzanego. Powietrze dopiero z tego worka dochodzi do piszczałek. Szczególnie piszczałka melodyczna jest niczym innym jak ulepioną piszczałką pastuszą. Ma ona stroik z trzciny rzecznej i 7 otworów palcowych, które nadały jej nazwę przebieżki. Druga piszczałka — to bas, buczek.

Gdzie dudy się narodziły, trudno dociec. Muzykolodzy twierdzą, że z Azji poprzez Rzym przywędrowały do Brytanii, gdzie dziś są ludowym szkockim instrumentem. Dudy jako „kozy polskie” znane były w średniowieczu. Z nich też złożona była kapela dworska króla duńskiego Christiana 1586—1648). W XVII wieku śląskie kapale liczyły po kilkudziesięciu dudziarzy i wielu skrzypków. Kapale dudziarskie musiały też grać naszym wielkopolskiemu pocię Kasprowi Miaszkowskiemu w Wielkich Strzelcach pod Gostyniem, gdyż o nich wspomina w swoich wierszach:

„...Nie masz nad nasze z krzywym rogiem dudy...”

W następnym wieku jako o dudach ciszej w Polsce, za to w tym czasie we Francji awansowały do instrumentów sfer wyższych, a nawet zdobywały obywatelstwo w orkiestrach operowych. Potem powracając tam z powrotem na wieś, gdzie zanikają coraz bardziej.

Renesans polskich dud dokonał się w ubiegłym stuleciu. Związany był on z procesem uwłaszczenia wsi, który z kolei spowodował rozkwit pieśni ludowej, tańca, stroju ludowego. Dudy jako tani instrument, który może zrobić mistrz wiejski, stały się potrzebą. Gorzej było z ich stałymi towarzyszami — skrzypcami o trzech strunach, tak zwanymi mazankami, bo trudniejsze w wykonaniu, wymagające pewnej precyzji. Zastąpiły je skrzypce fabryczne, tanie, ale o niższym tonie. Muzykanci wiejscy zastosowali podwazywanie strun, co w efekcie daje wyższy ton, dopasowany do dud. W ubiegłym wieku powstało bardzo dużo par dudziarskich. Ale nie na długo. Na wsi pokazał się groźny konkurent z miasta — produkt przemysłu muzycznego — harmonia, a później akordeon, który ulegał coraz większemu udoskonaleniu.

Już przed wojną zaczęła grozić dudom zagłada. Działające ludowi dla uratowania tego instrumentu, zaczęli organizować konkursy. Akcja uratowania folkloru użyczonego dopiero po ostatniej wojnie kiedy zaczęto doceniać wartości artystyczne wsi zaczęła nabierać rumieńców. Szczególnie do zachowania starych instrumentów, a więc i dud, mają się przyczynić organizowane raz po raz festiwale i regionalne kapale. Jedną z takich form są wielkie

Józef Pieprzyk
 reprezentacyjne kapale ludowe poszczególnych województw.

Po tym życiorysie wielkopolskich dud porozmawiamy z mistrzem dudziarskim w Jarocinie — Wawrzynem Bielawskim.

Wawrzyn Bielawski ma „na sumieniu” wiele dud. Którekolwiek zrobił, mogą pochwalić się czystym i pięknym tonem, przy tym stroją do innych instrumentów. Nasz mistrz zna się na kunszcie dudziarskim.

Właśnie nałożył swoje ulubione dudy na siebie i zagrał. Skoczna melodia posypała się i wypełniła pokój.

— Nie każde dudy tak grają — powiedział mi — bo strojenie jest różne. Na przykład dudy biskupińskie mają tonację bardzo wysoką. Każdy też mistrz ma swoje wymagania od instrumentu. Tajemnica nastawienia dud tkwi w doborze drewna na przebieżkę, w jej długości i rozłożeniu otworów do przebieżania palcami, chociaż na dole przebieżki jest specjalny otwór zalepiony częściowo woskiem dla regulowania tonu.

— Więc jak, będą grały w organizującej się reprezentacyjnej wielkopolskiej kapeli ludowej? — nasuwa mi się pytanie.

— Trzeba we wszystkich dudach umieścić takie same przebieżki. To polecenie dał mi wojewódzki Wydział Kultury. Trudno mi je wykonać, gdyż nie mam odpowiedniego drewna.

Potrzebny byłby mi rdzeń z suchej śliwy, takie drzewo najbardziej się nadaje. Może komuś z gospodarzy uschnęły śliwy, chętnie bym skorzystał z tego drzewa. Niech pan poprzez „Głos” zwróci się do czytelników o tę pomoc. Muszę zrobić dziesięć nowych dud i ponadto 22 przebieżki. A więc roboty sporo i czas już nagli.

Trzeba dodać, że nasza wielkopolska kapela ma liczyć 80 osób. Udział w niej wezmą du-



Wawrzyn Bielawski
 Fot. K. Przychodzki

dy, kozy, mazanki, skrzypki, maryny, klarnety — słowem, wszystkie stare nasze ludowe instrumenty. Dudziarzy ma przygotować nasz mistrz Bielawski, koźlarzy zbyszniński — ob. Śliwa, całością dyrygować będzie syn znanego „hetmana” — włośzakowickiego zespołu — Stefana Skorupńskiego — Marian, który w tej chwili w Warszawie studiuję ludową muzykę i grę na starych instrumentach. Proszę sobie wyobrazić

nasze wojewódzkie święto pieśni i tańca w Poznaniu: 80 muzykantów wiejskich, 500 par tancznych — wszyscy w regionalnych strojach — i śpiew połączonych najlepszych zespołów chóralnych! Niejednemu z nas lza się zakręcić z radości i podziwu. Bo piękna jest nasza muzyka ludowa!

Wie o tym Wawrzyn Bielawski. Kiedyś, jako 17-letni syn fornała, za chlebem musiał wędrować z Parzęczewa do Westfalii. Tam poznał smak wielkopolskich melodii w zespołach śpiewających emigrantów wielkopolskich, które uczyły go miłować rodzinny kraj i nie zapominać języka. Kupił wybrukowane dudy, zreparował je i grał. Grał sam, bez nauczyciela, dla siebie i z siebie. W 1936 roku wystąpił w Ostrowie Wlkp. na eliminacjach dudziarskich (a było tam dudziarzy przeszło 30) i zdobył pierwsze miejsce. Teraz po wojnie zapraszają go wraz ze skrzypkiem Michałem Galińskim na różne imprezy i zabawy. Gra innym, którzy starą pieśń kochają, i to go cieszy. Cieszy jak nigdy, że ludowa melodia znalazła uznanie.

Tego samego dnia, kiedy odwiedziłem w Jarocinie naszego mistrza, wieczorem miał przyjechać Michał Galiński. Na pewno grzmiała muzyka do późnej nocy. A dziś, kiedy ten artykuł czyta, Bielawski na swojej tokarce robi przebieżki dla swoich kolegów. Aby muzyka dudziarska brzmiała równo i pięknie w naszej reprezentacyjnej kapeli.

Sezon teatralny w Nowym Jorku

Największym powodzeniem cieszy się w metropolii amerykańskiej sztuka, której główną bohaterką ma lat dziewięć; jest to dziewczynka popełniająca trzy morderstwa. Autor sztuki „stawia problem” dziedziczenia złych cech charakteru po rodzicach. Przypomnijmy, że teza prof. Lombroso dowodzącego „przyrodzonych skłonności przestępczych” została skompromitowana przed bardzo wielu laty. Tym jednak autor zapierającej dech w piersiach sztuki — się nie przejmując. Uchodzi zresztą za jednego z najlepszych dramaturgów amerykańskich. Krytyka przyjmuje spektakl z zachwytem, rozpytywając się nad „genialną kreacją artystki Patty McCormack” odzwierciedlającą rolę zbrodniczej dziewczynki.

Z operowymi nowościami nie jest lepiej. Ostatnio wystawiono dzieło Gian Carlo Menottiego, skądinąd bardzo wpływowego twórcy kompozytora. Widzowsko muzyczne nosi tytuł „Święci z Blecker Street” i zostało określone przez recenzentów jako „dzieło skończone i genialne”. Stawia się je na równi z utworami Verdiego Wagnera, Pucciniego i Mozarta. Głównymi bohaterami opery są: młoda dziewczyna nawiedzana religijnymi wizjami, brat nieczuły na sprawy metafizyczne i

Z TEKI CHOPINOWSKIEJ FOTOGRAFIKA MAKSYMILIANA MYSZKOWSKIEGO



Sonata b-moll

Czy Chopin potrzebuje propagandy?

Wśród ludzi niezorientowanych, a lubiących kręcić nossem na to, co się dookoła nich dzieje, spotkać się można z pytaniem, któremu towarzyszy wzruszenie ramion:

— Na co te Konkursy? Czy Chopinowi potrzebna jest propaganda?...

Czy potrzebna... Zastanówmy się nad tym wcale ciekawym pytaniem.

Nam, dzisiaj, zdawaćby się mogło, że oczywiście — niepotrzebna. Chopin grany jest i podziwiany na całym świecie. Nie ma chyba na kuli ziemskiej takiego fortepianu, który choć raz nie odezwałby się chopinowską muzyką. Rzecz jednak w tym, że ów powszechny kult Chopina jest sprawą stosunkowo niedawną i myliłby się, kto by sądził, iż od śmierci kompozytora popularność jego rosła nieprzerwanie.

Sztuka nie ma absolutnej wartości i mierzona jest wzruszeniem, jakie wywołuje u ludzi, przy czym każde pokolenie inaczej reaguje na

Jerzy Waldorff

to samo zjawisko artystyczne. Gdy zmarł Jan Sebastian Bach, żałowano przede wszystkim ubytku znakomitego organisty. Twórczość jego przyćmiona została wkrótce dziełami muzycznymi synów, o wiele mniej zdolnych, lecz komponujących bardziej w guście epoki. Minęło kilkadziesiąt lat i Bach uległ niemal całkowitemu zapomnieniu. Dopiero w wiek prawie po swej śmierci został „odkryty” i wprowadzony na estrady koncertowe przez Mendelssohna.

Nie tak drastyczne, lecz podobne są dzieje kultu Chopina. Wiek XIX uważał go za wykwintnego kompozytora salonowego. Damy z wyższych sfer wchodziły się nokturnami i zachwyciły walcami. Sonat raczej nie grywano. Jeden z biografów artysty pisał: „Pierwsza część Sonaty h-moll staje się coraz bardziej i bardziej namiętna, aż wreszcie przekracza granice przyzwyczajenia”. Inny wybitny teoretyk owych czasów o prościutkim II Preludium Chopina rzekł: „Nie grywać, bo dziwaczne”. Podobnych bredni wypisywano tomy. Ogólnie biorąc, muzyka Chopina uważana była za „chorobliwą”, „egzotyczną”, „względnie „gorączkową” i zepsutą”. Doszło wreszcie do tego, iż pod koniec XIX wieku wysunięta została myśl, aby „dzieła Chopina odczołżyć i nie grać ich przez lat dwadzieścia”. Czy projektodawcom chodziło o to, by „zepsuty” Chopin został tymczasem zapomniany, czy żeby się poprawił? — trudno i nie warto dziś dociekać.

Oczywiście i w XIX wieku i na początku XX istnieli znakomici pianiści, jak Antoni Rubinstein czy Paderewski, którzy doceniali wielkość chopinowskiej muzyki i propagowali ją w miarę możliwości. Jednak możliwości ograniczone były do sal koncertowych i środowiska melomanów.

Zaczętki szerokiej, wszechświatowej popularności Chopina łączą się dopiero z wynalazkiem radia i właśnie z naszymi Konkursami Chopinowskimi. Było to w roku chyba 1935, gdy pewnej upalnej środy wieczorem siedłem jedną z ulic Marsylii. Zaskoczyło mnie, że z coraz to innego okna dobiega muzyka fortepianowa. Przysłuchiwałem się bliżej: to były głosniki marsylijskich odbiorników, wszystkich nastawionych na śródowy recital chopinowski Polskiego Radia.

Konkursy muzyczne nie są świeżym wynalazkiem. Początek wzięły z turniejów muzycznych XIX wieku, jakie toczyli głośni wirtuozi, walcząc o palmę pierwszeństwa w swej specjalności odtwórczej. Z wielu konkursów mało u-

trzymało się dłużej. Okazywały się przeważnie tworam sztucznymi, zbędnymi dla naturalnego rozwoju muzyki. Tymczasem instytucja naszych Konkursów Chopinowskich nie była ani przez chwilę czymś sztucznym, lecz od razu potrzebny — rzecz by można — oczekiwanym w całym świecie muzycznym.

Gdy mowa o rozwoju tych czy innych poczynach, najpewniejszym świadectwem są liczby. Użyjmy ich wymowy i tutaj. Tak więc w I Konkursie, w roku 1927, jury składało się z 10 osób, wyłącznie Polaków. Kandydatów, z kilku krajów, było niewiele ponad dwudziestu. Tymczasem w jury obecnego V Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego mamy 31 wybitnych przedstawieli muzyki z 17 krajów. Tylu mniej więcej, ile było razem jurorów i kandydatów w I Konkursie. O tytuł najlepszego chopinisty walczyło w pierwszym etapie V Konkursu 138 młodych pianistów, z 33 państw, z 5 kontynentów. Wśród pozaeuropejskich kandydatów byli m. in. przedstawiciele Japonii, Ceylonu, Afryki południowej, Argentyny, Ekwadoru i Kanady. Oto geograficzny sześciorobok dzisiejszej wszechświatowej popularności Chopina.

Zdawałoby się przeto, iż mało kontencji, o których wspominałem w wstępie, mają rację: po co nowe Konkursy i dalsza propaganda Chopina?

Istnieje ważny powód, aby Konkursy toczyły się dalej, także w przyszłości! Wiek XIX przekazał nam portret Chopina zafałszowany ekliwizacją i lżawym sentymentalizmem, co wszystko razem miało być „stylem romantycznym”. Poprzez Konkursy sięgnięto do lepszych, prawdziwszych tradycji wykonawstwa tej wspaniałej muzyki. Przypomniano, iż Chopin był potężnym, świadomym swych celów artystą. Sonaty Chopina dopiero w no wcześniejszej interpretacji stały się równie wstrząsającymi dziełami romantyzmu, jak np. „Wielka Improwizacja” Mickiewicza z „Dziadów”. Ten nowy portret Chopina uzupełniany jest z Konkursu na Konkurs dodatkowymi, odkrywczymi rysami. Pomiędzy młodymi kandydatami odbywa się nie tylko współzawodnictwo, lecz i jakby dyskusja muzyczna nad tym — jakimi środkami odtwórczymi ukazać najprawdziwsze oblicze muzyczne naszego genialnego kompozytora.

Po każdym Konkursie nowe dziesiątki pianistów rozjeżdżają się na cały świat, aby kultywować twórczość Chopina coraz bardziej czystą i piękną.

Oto, jakie są cele i osiągnięcia Międzynarodowych Konkursów Chopinowskich.

SLON i włoska współczesność



O człowieku, niezgrabnym i niedelikatnym mówimy: „rusza się jak słon w sklepie z porcelaną”. Nowy włoski film, który na nasze ekrany wszedł pod tytułem „Witaj słoniu” jest swoistą rehabilitacją tego sympatycznego czworonoga. Okazuje się, że można wprowadzić słonia na ekran w taki sposób, że porcelanowa koncepcja filmu wcale na tym nie ucierpi.

Rodzinnie włoskiego nauczyciela brak pieniędzy na buty dla dzieci, na oświetlenie, na wiele innych codziennych potrzeb. Nauczyciel Garetti nie może chorej córce kupić piśniaka na imię niny — a tu nagle pojawia się przed domem wóz przedsiębiorstwa przewoźowego z olbrzymią paką, z której sterczy trąba żywego słonia... W tym momencie widzowie poprawiają się na krzesłach: teraz rozpocznie się komedia zabawnych nieporozumień, seria nieoczekiwanych śpieć na temat „żywy słon na czwartym piętrze”. Tymczasem nic z tego. Słon pozostaje do końca małym rekwizytem oryginalnym wprowadzie, ale tylko marginesowym aktorem. On kieruje akcją filmu — zgoda. Ale w ostatecznym rozrachunku i słon, i sprawy z nim związane są przeznośnią wyrażającą szerszy konflikt.

Przypomnijmy sobie taką scenę: dzieci ucieszone oryginalną zabawką, zasypiają. Na ustach nauczyciela błąka się smutny uśmiech. Po chwili wyprowadza słonia z domu. W bramie spotyka żonę. „Kupimy sobie kawałek ziemi za miastem, zbudujemy domek, słon pozostanie u nas” — mówi nauczyciel, wiedząc, że to się nigdy nie spełni. Pod koniec filmu podobna scena — rodzina Garettich odwiedza swego ulubieńca w ogrodzie zoologicznym. „Kupimy kawałek ziemi, zamieszkamy razem z Nabiną. Ba — kiedy cały film przekonał nas o tym, że tak naprawdę panna Garetti są wobec włoskiej współczesności nieziszczalne.

Gdzie wobec tego miejsce na komedie? — spytaście. Otóż filmowcy włoscy udowodnili nam kapitalnym dziełem „Złodzieje i policjanci”, że nie potrzeba wcale uciekać od niewesołej rzeczywistości — i komedia będzie całą sobą. Tak samo „Witaj słoniu” jest komedią — choć jego twórcy wystrzegali się „przekomiczowania” filmu. Takie np. sceny jak pogoń za słoniem po ulicach miasta dawały więcej możliwości, gdy chodzi o komizm sytuacyjny. Autorem zależało jednak na stworzeniu komedii w nieco odmiennym stylu. Jej klimat przypomina mi bardzo Castellaniego „Nadziei za dwa grosze”. Pełno w nim pogod y, tej którą stwarza życzliwe spojrzenie na ludzkie sprawy, na duże smutki i małe radości Garettich. Refleksji towarzyszy uśmiech. Oto obieraliśmy uroczy film — pełną pogodę i ochotę ludzkiej serdeczności.

Nazwisko reżysera filmu „Witaj słoniu” mniej jest znane polskiemu widzowi. Niemniej Franciolini nie od dziś zajmuje miejsce w gronie nosterowych filmowców włoskich. Lepiej pamiętamy nazwisko De Siki jako reżysera „Złodziei rowerów” i „Cudu w Mediolanie”. Tym razem wystąpił w roli nauczyciela Garetti, dowodząc, że jego kunszt reżyserski nie ustępuje umiejętnościom aktorskim.

Kopia, którą otrzymał Poznań — tym razem dobra.

JANUSZ BINIEK

O podwórku literackim słów kilka

W naszym środowisku kulturalnym zakotłowało się jak przy szatni po skończonej imprezie. Dyskusja o kulturze — bo tak by ją można najogólniej nazwać — znajduje się w pełnym toku, ujawnia sprawy przemilczane, drażliwe, zmusza do myślenia, prowokuje polemiki, czasami budzi sprzeczki, czasami niepokoi, słowem — jest dyskusją z prawdziwego zdarzenia. Rzecz zrozumiała — atmosfera naelektryzowana polemiką nie zawsze sprzyja trzeźwym osądom, toteż pochodną każdej dyskusji

Napisał
TADEUSZ HALUCH

jest zwykle pewna ilość twierdzeń, niekoniecznie słusznych, niekiedy nawet krzywdzących, pozbawionych rzeczowej argumentacji. Jedno z takich twierdzeń, blakających się tu i ówdzie w obecnej dyskusji, dotyczy poznańskiego środowiska literackiego. Oczywiście, każdy publicysta, który wsadza przysłowiowy kij w mrowisko, ma prawo do jaskrawych sformułowań i skrajnego ujęcia za-

gadnień, rzecz polega jednak na tym, aby te skrajne sformułowania, obliczone na wywołanie efektów polemicznych, nie utwierdziły się w opinii publicznej jako odbicie rzeczywistego stanu rzeczy.

Czy s'uszuę były zarzuty?

Już od dawna zarzucano poznańskiemu literatom pewną nieruchawość, brak ofensywności twórczej, ucieczkę od problematyki współczesnej, a przede wszystkim stosunkowo nikłą efektywność ich pracy. Pogłosy tych zarzutów odzywają się również w naszej dyskusji. Coraz to ktoś inny wchodzi na literackie podwórko, zagląda przez ramię temu i owemu mistrzowi pióra, kręci nosem lub kiwa aprobująco głową. Wejdźmy więc i my na to podwórko. Już na wstępie spotyka nas dość miła niespodzianka — tam do licha, przecież tu panuje dość duże ożywienie. Nie wierzyć? Oto parę dowodów.

Ireneusz Gwidon Kamiński zadebiutował „Opowieścią węgierską”. Eugeniusz Paukszt Bogusław Kogut drugą część „Zbuntowanych” pt.: „Zawieja” a Włodzimierz Odojewski „Opowiadania leskie”. Ponadto nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej ukazały się trzy reportaże objęte wspólnym tytułem „Na poznańskiej wsi”. Autorem tej małej książeczki jest kolektyw: Przemysław Bystrzycki, Piotr Guzy, Włodzimierz Odojewski i Klemens Oleksik. Dodajmy jeszcze do tego intensywną twórczość nowelistyczną Leszka Proroka, świetne przekłady Kazimierza Iłakowiczówny, niezmordowaną działalność literacką i publicystyczną Eugeniusza Paukszt, a obraz literackiego podwórka nabierze jaśniejszych kolorów.

Już niebawem oczekiwać będziemy dalszych książek Bogusława Koguta, Eugeniusza Paukszt, Jerzego Korczaka, Włodzimierza Odojewskiego i wreszcie debiutu Piotra Guzego. Wytrwała praca Egona Naganowskiego wyda wkrótce owoc w postaci książki o wielkim pisarzu duńskim Martinie Andersenie Nexö, książki dla której nieprędko znajdzie się właściwe określenie w systematyce gatunków literackich. Stanowi bowiem formę pośrednią między ściągą, erudycyjną monografią a popularnym gatunkiem wie romanece.

Metoda zastrzyku podniecającego

Skoro już mowa o pewnym ożywieniu się podwórka literackiego, to nie od rzeczy będzie wspomnieć o rozstrzygniętych przed kilku dniami konkursie na utwór związany tematycznie z regionem wielkopolskim. Jest rzeczą nie podlegającą dyskusji, że konkurs poważnie zdynamizował środowisko ludzi piszących i powinien stać się dobrym precedensem na przyszłość. Szkoda tylko, że miał on charakter zam-

„Zbliża się wiosna”



knięty — ileż ukrytych talentów można by wyłowić, gdyby dopuszczono doń wszystkich, mających coś istotnego do powiedzenia o Wielkopolsce i jej ludziach.

Dosyć znamienne wnioski nasuwają się przy przeglądaniu listy laureatów. Oto na ośmiu nagrodzonych i wyróżnionych dwóch zajmuje się dziennikarstwem i publicystyką, a jeden jest członkiem Koła Młodych przy Z. L. P. Nie wiemy jeszcze, jakie konkretne walory artystyczno-ideowe reprezentuje wyróżniona I-szą nagrodą powieść Janusza Likowskiego „Spokojna ziemia”, czy też opowiadania Bińka i Orlewicza, wiemy natomiast, bo o tym mówią wyniki konkursu, że istnieją realne możliwości stałego wzrostu ośrodka literackiego w Poznaniu, że „rezerwy literatury” kryją się i wśród dziennikarzy, i w Kole Młodych, i w szeregach młodzieży polonistycznej.

Obowiązkiem oddziału poznańskiego Z. L. P. jest ujawnianie tych rezerw i wszechstronna nad nimi opieka. Bo niewątpliwie w zarzutach, którymi obrzucano poznańskich literatów, nawet tych przejskawionych, kryła się pewna doza racji. Wszak jeszcze do niedawna słyzało się u nas na dobrą sprawę tylko o trzech czy czterech literatach. Oni wydawali książki, oni pisali do gazet, oni stanowili najbardziej eksponowaną czołówkę sennego oddziału. Na do robek każdego roku pracy składały się niemal wyłącznie wyniki ich działalności. A przecież oddział poznański liczy około trzydziestu członków!

Czego jeszcze chcieli y my

Więc nie dziwny się, jeśli niektóre głosy dyskusyjnie ostro atakowały środowisko literackie, jeśli żądali od niego nie tylko programu minimum, to znaczy publikowania paru książek w stosunku rocznym, ale i programu maksimum, czyli pełnej aktywizacji całego środowiska przy jednoczesnym stworzeniu najlepszych warunków dla napływu nowych sił. Cieszy nas ożywienie panujące obecnie na literackim podwórku, cieszy nas fakt, że wiele zarzutów skierowanych przeciwko poznańskiemu literatom, odnosi się raczej do dnia wczorajszego niż do ruchliwego „dzisiaj”. Niemniej jednak mamy prawo żądać od nich bardziej ambitnych dokonań, książek o ogólnopolskim ciężarze gatunkowym, artykułów w prasie centralnej, a nade wszystko stworzenia z oddziału Z. L. P. ośrodka o dużej sile intelektualnego oddziaływania.

Postulaty, to jednak nie wszystko. Trzeba stworzyć literatom odpowiednie warunki pracy. I tu próba do wszelkiego rodzaju czynników decydujących, kulturalno oświatowych, nieoświatowych, ale za to natrętnych itp. itp. — nie przeskakujcie pisarzom w pracy!

Pisarz nie mieszka już dzisiaj w wieży z kości słoniowej w społeczeństwie i dla społeczeństwa tkwi w bieżącym życiu po dziurkę w nosie. działa, przemawia, pisze wypowiedzi, ale to, że działa, przemawia, pisze wypowiedzi nie oznacza wcale, że... przestał być pisarzem. Jego zasadniczym obowiązkiem jest pisanie książek. Nie wskazuje mu więc oświatowych pogadanek, nie każe pisać o odzyskaniu miasta, nie wysyłać go akcyjki, z którymi może się uporać byle skrybą.

Szanujcie jego czas, bo pisarz cierpiący na chroniczny brak czasu traci ambicję tworzyć, przestaje być sobą, upodabnia się do etatowych gadułów, posiedzeniary i akcyjniaków.

*

Tych kilka uwag o naszym podwórku literackim, pochwał, na które bez wątpienia literaci ostatnio zasłużyli, nie powinno w żadnym wypadku stanowić przesłanki dla twierdzenia, że wszystko jest już dobrze. Możliwość środowiska literackiego były i są nadal duże i chyba wszyscy dyskutanci zgodzą się co do tego, że na razie nie zostają one w całej pełni wykorzystane. Jeśli to nastąpi, poznańscy literaci nie zasklepią oczywiście swoich ambicji w ramach regionalnego partykularyzmu, stworzą naprawdę twórcy ośrodek w skali ogólnonarodowej.

Czesław Miśnianik

DZIWNY CZŁOWIEK

Jednym z miasteczek na trasie moich podróży służbowych był K. Przejeżdżając tamtędy do Gostynia, zatrzymałem się zwykle w hotelu „Pod Koroną”. Należał do kategorii „z wodą w konewce”. Wytapetowanemu wewnątrz żółto w lilowe kwiatki, z dywanami pamiętajacymi czasy cesarza Wilhelma, muzealnego smaczku dodawał stary portier, celebrytujący przyjęcie każdego gościa.

„Pod Koroną” miałem już swój stały pokój, którego okna wychodziły na ratusz z metalowym kogucikiem na wieżyczce, wskazującym kierunek wiatru. Ten pokój sasiadował z drugim, również pojedynczym, także samo usytuowanym en face wiatromierza, zajmowanym okresowo przez pewnego mężczyznę w starszym wieku. Był to człowiek o wyglądzie pocziwca, twarz miał dużą, podłużną, uśmiechniętą na zawołanie. Zjawiał się z potężnie wypchaną teczką, ubrany niezmiennie w szary garnitur i podstarzały piśniowy kapełusz. Spotykaliśmy się czasami w restauracji hotelowej przy posiłkach, zamienialiśmy kilkanaście zdań o pogodzie, jakości potraw czy orkiestrze cyganów, bardzo czarnych i bardzo brudnych, przygrywających konsumentom od ucha.

Z rozmowy dowiedzieliśmy się, że był akwizytorem, zaangażowanym przez kilka prywatnych przedsiębiorstw, stale więc znajdował się w rozjazdach. Zdradził tajemnicę wypchanej teczki, której zawartość stanowiły mydełka, grzebienie i guziki — wszystko oczywiście, jak twierdził, w najlepszym gatunku. Praca ta przynosiła mu niezły dochód, był na procencie i żyło mu się nie najgorzej. Gdy wspominałem kiedyś o moich zarobkach, machnął lekceważąco ręką.

— No, tak źle jeszcze ze mną nie jest — zaśmiał się — ale gdyby tego... — w tej chwili mrugnął do mnie znacząco — rozumie pan, miałbym się dużo lepiej...

Pewnego razu około Nowego Roku siedzieliśmy w gospodzie przy szynclach z jaskiem i dużym jasnym. Był to właśnie okres gorącej debaty we francuskim Zgromadzeniu Narodowym, od wyników której zależała remilitaryzacja Niemiec zachodnich. Radio nadawało sprawozdanie swego specjalnego wysłannika z Paryża.

— Ja tam nie chcę wojny — rzekł mój sąsiad — wszystkim — powiedział z naciskiem — można załatwić w drodze pokojowej.

— Wykluczam pokój za wszelką cenę — odpowiedziałem.

— Aha, aha — podchwycił, przez bezbarwne oczy przeleciał jakiś błysk.

Zamilkł, jakby po przedstawieniu różnych punktów widzenia uznając dyskusję za wyczerpaną. On pociągnął z kufia i zabrał się do kreślenia na serwetce szeregu cyfr, które dodawał, to znowu odejmował, poruszając bezgłośnie wargami. Marszczył przy tym śmiesznie brwi jak człowiek, który bardzo intensywnie myśli.

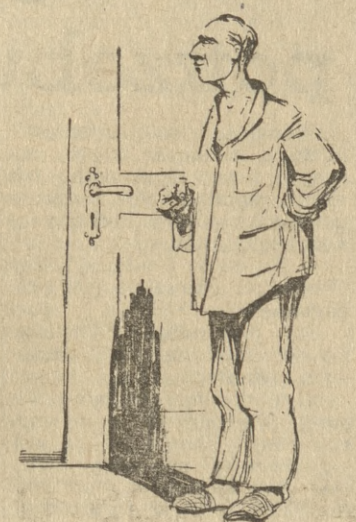
Następnego dnia wyjeżdżałem do Gostynia. Jedyny pociąg przed południem odchodził o wpół do siódmej rano. Wstąpiłem więc do biura hotelowego, prosząc starego portiera o zbudzenie mnie. Zano-towałem kredą „Nr 15 (tzn. ja) — 6”, po czym wręczył mi uroczyście klucze do pokoju.

— Proszę bardzo szanownego pana, bardzo proszę — rzekł poważnie — punktualnie o szóstej. Bierze mróz — co-

dziennie wieczorem informował o pogodzie — jak to w zimie...

— Tak, tak, te wyjazdy... — pokiwał głową mój sąsiad. Rozstaliśmy się na dole w holu. Byłem zmęczony i zaraz poszedłem spać. On zaś czując kalosami skierował się do wyjścia. Zapewne udał się w odwiedziny do swego przyjaciela, przewodniczącego Związku Hodowców Kanarków, o którym kiedyś szczegółowo opowiadał.

Obudziło mnie gwałtowne pukanie.



Rys. Feliks Śmiełowski

— Szósta, pobudka — krzyknął ktoś za drzwiami. Ale nie był to głos portiera, niski, nosowy, dostojny. To był jakiś inny głos. Otworzyłem, naprzeciwko stał mój sąsiad w pasiastej piżamie, oczy błyszczały jak u kota. Wielka, podłużna twarz drżała podnieceniem.

— Portier wyszedł, więc pozwolili sobie pana obudzić. Śpię bardzo czujnie — tłumaczył — jak dobry kundel — zażartował.

Nie zdążyłem mu podziękować, kiedy przyparł mnie oddechem z nocy do wytapetowanej żółto ściany.

— Zatwierdził — mówił poważnie obojętnie. — Tak, tak, cóż zrobić.

Rozłożył ręce teatralnym gestem.

— Cóż, większość chciała, 27 głosów... Zatwierdził — ciągnął, patrząc na mnie uważnie.

Machnął ręką, jakby bolał nad tym faktem. Ale oczy nie przestawały mu błyszczeć.

— Dziękuję panu — rzekłem zdenerwowany.

— Tak, tak — mruczał, wychodząc z pokoju — zatwierdził.

Zamknąłem drzwi. Słyszałem przez ścianę jak pogwizdywał Sorento, stukał miednicą, a w pewnej chwili zaczął wybijać takt czymś twardym, co kłóciło się wyraźnie z przepisami hotelowymi. Nakazującymi poranna ciszę.

Idąc na dworzec spotkałem portiera, biegnącego drobnym kroczkiem w stronę hotelu. Widząc mnie przystanął zdumiony. — To szanowny pan już się obudził? — pokazał ręką zegar na wieży. Była za kwadrans szósta.

W lutym znowu zmuszony byłem spędzić noc w hotelu „Pod Koroną”. Zima była lekka, śniegu na lekarstwo, tylko kałuże śliski tu i ówdzie szkląłem lodu. Stary portier, jak zwykle, powitał mnie arcygrzecznie: — Bardzo proszę, szanownego pana, proszę bardzo. — Zauważyłem jednak, że postarzał się, nie brząkał już tak zawadiacko kluczami, głos mu ściął, nos się wydłużył.

— Tam pod 16 — rzekł — jest już pański przyjaciel.

Ooo, to bardzo szlachetny człowiek — podkreślił z godnością. Widocznie akwizytor nie zapominał o napiwkach...

Otwierając drzwi do swego pokoju, słyszałem jak gwizdał Sorento, pluskając wodą w miednicy. Zapukałem w ścianę

— Dzień dobry, jak zdrowie?

— Aaa, to pan — przybliżył się widocznie do ściany, bo głos brzmiał zupełnie wyraźnie. — Nawet świetnie, niech pan zajmie stolik... Zaraz schodzę...

Spotkaliśmy się przy kolarci w gospodzie hotelowej. Mój znajomy był niezwykle ożywiony, jak twierdził miał widoki dużego obrotu nowym gatunkiem grzebieni jakoby nie-tamliwych. Z tej okazji wypiliśmy po kieliszku wiśniówki, a on na cześć grzebieni zamówił u cyganów Sorento. O polityce tego wieczoru mowy nie było. Opowiedział za to szereg frywolnych dykteryjek wydobitych z arsenału „tamtych czasów”.

Następnego dnia udałem się do Gostynia rannym pociągiem o wpół do siódmej. Wynikły więc znane tarapaty z budżetem. Portier gdzieś się zawiesił, po chwili okazało się jednak, że spał smacznie, wtulony w róg grzejnej sprężynki, pluszowej kanapy. Nie chciałem mu przeszkadzać.

Sąsiad również wybierał się do Gostynia. Miał tam kilku odbiorców — sklepikarzy, „Ostatnich Mohikanów”, jak się wyraził.

Skorzystałem więc z jego uprzejmości:

— Czy nie mógłby pan mnie jutro obudzić o szóstej rano?

— Doskonale — odparł wyraźnie ucieszony. — Obudzę pana o szóstej. Pojedziemy razem.

Pożegnaliśmy się serdecznie pod drzwiami, po czym on zgodnie z tradycją poszedł jeszcze na kawę do przewodniczącego Związku Hodowców Kanarków.

Zasnąłem w jednej chwili. Śnił mi się mój znajomy w turbanie na głowie, prowadzący na sznurku słonia, w drugiej ręce trzymając klatkę z kanarkiem. Zbudziły mnie hałasy w korytarzu. Sprzączka dzwoniła wiaderkami. Ktoś tupał na schodach. Dookoła trzaskano drzwiami. Przez okno przedostawał się świt. W jego skąpm blasku zobaczyłem kogucika na ratuszowej wieży, kręcącego się jak fryga. Musiało porządnie wiać. Kląnę zerknąłem się z łóżka, wyszedłem na korytarz. W otwartym pokoju, zajmowanym przez akwizytora sprzączka paliła w piecu. Sąsiada nie było. Zniknął.

— Wjechał — powiedziała, tłukąc węgiel młotkiem. Zbiegłem ze schodów. Stary portier otworzył swoje okienko.

— Mam dzisiaj wiatr, duży wiatr, proszę szanownego pana — rzekł poważnie. Konwersacja z gośćmi należała do jego honorowych obowiązków. — Będzie zmiana, od rana mnie strzyka...

W pierwszym z brzegu kiosku kupiłem gazetę. Na pierwszej stronie rzucił mi się oczy wielki tytuł „Rząd Mendesa France'a upadł”.

Pomyślałem o akwizytorze. Nie spotkałem go już więcej, ale to jeszcze nie dowód, że nie grasuje w prowincjonalnych miasteczkach, prezentując zalety swoich mydełek, grzebieni i guzików.

W drodze do Karachi

Mija dzień za dniem. Przechodzimy Kanał Kiloński, Morze Północne, kanał La Manche, Zatokę Biskajską, na której szalejący sztorm dał się nam we znaki. Stan morza dochodził do 9 stopni w skali Beauforta. Atlantyk wita nas piękną słoneczną pogodą.

Gibraltar mijamy nocą. Z punktu obserwacyjnego błyska światło. Pytają nas alfabetem Morse'a „What ship?”. Nasze radio odpowiada „M/S General Walter”. Anglik dziękuje i przestaje migać.

Plynie przy brzegach Afryki wykorzystując stary prąd idący z zachodu na wschód.

Przez lornety oglądamy wysokie góry Atlasu. Wiatr od lądu niesie zapach kwiatów. Po kilku dniach ziemia ginie nam z oczu. Na pokładzie, na masztach siedzą dziesiątki kolorowych ptaków wędrujących nad Morzem Śródziemnym, które znalazły zasłużony odpoczynek.

Przy dziobie statku płyną stadem delfiny, które nas prawie nie odstępują.

Po kilku dniach znowu ląd, Cyrenaika. Co dzień jest ciepło. Po prawej stronie, na trasie statku widzimy światła Aleksandrii. Za kilkanaście godzin stoimy już zakotwiczeni w Port Saidzie, gdzie otrzymujemy pocztę z kraju.

Ledwo statek rzucił kotwicę, a już wokół niego nagromadziło się mnóstwo łodzi żaglowych, motorowych i ręcznych z krzykomi handlarzami, którzy urządzają niesamowity rwest, zachwalając swoje towary. Można tu kupić wszystko, buciaki, skórzane, walizki, pomarańcze, koniak itd. Przeważnie fałszyfikat. Kupiony koniak okazał się ku zmartwieniu nabywcy zwykłą herbatą, choć miał najoryginalniejsze w świecie opakowanie.

Przy trapie stanął policjant z dubeltówką na ramieniu. Czerwona czapka na głowie, granatowy mundur, na nogach owijające się białe stopy. Robi się... stracha na wróble. Przedstawiciel władzy udaje srogiego. Dużo krzyczy... i bierze łapówki od handlarzy, których z każdą chwilą przybywa.

Początkowo handlarze znajdują się na łodziach. Po godzinie jest ich pełno na statku. Każdy z nich ma polecane listy pisane przez marynarzy w języku polskim. Są w nich wypisane przeróżne głupstwa. Na jednym z nich przeczytałem „ten sprzedawca jest łobuz, drań i oszust, a przy tym nie najgorszy złodziej. Nie kupuj u niego”. Po dwugodzinnym opekanianiu się natrętem podniosły kotwicę i w konwoju idziemy przez Kanał Sueski.

Przy kanale biegnie szosa, po której od czasu do czasu mkną samochody. Po kilkunastu godzinach jesteśmy w Port Suez. Znowu handlarze niemiennie natrętni niż w Port Saidzie. Ostatnie formalności, podniesienie kotwicy, zdanie pilota i znowu oddychamy swobodnie.



OSTATNI KRZYK

Z Paryża nadchodzi wiadomość o nowej sensacji w zakresie mody damskiej. Ostatnim krzykiem są peruki z nylonu. Jak podają pisma francuskie, jedna z dam z tak zwanego „towarzystwa” pojawiła się niedawno publicznie w kreacji, którą nazwała „Hemelin”. To wystarczyło. Od tego momentu, jeden z najbardziej wziętych fryzjerów paryskich jest dosłownie obłożony, a zamówienia na nylonowe peruki wpływają systemem taśmowym. Do dyspozycji dam stoją wszystkie kolory. Ak uwalnia jednak najmłodszymi są barwy: złota, srebrna, niebieska i biała. W każdym razie ceny wspomnianych ozdób niewieleśled doprowadziły do tego, że jedynie panie z „lepszego towarzystwa” mogą sobie na tego rodzaju wydatek pozwolić.

TAKŻE NAPÓJ...

Słowo „cocktail” jest pochodzenia atlantyckiego, a treść i smak napojów noszących tę nazwę posiadają „nieograniczone możliwości”. W związku z tym trzeba było przetransportować 47 osób spośród załogi kanadyjskiego krążownika „Magnificent” do szpitala. Powód: ciężkie zatrucie po spożyciu napoju, sporządzonego domowym sposobem. A oto receptura: alkohol metylowy, atrament, piwo, woda do picia, kawa zębów i sok ananasowy. Przypuszczalnie zaszkodził im... sok ananasowy!

Notatki marynarza

z podróży do Indii (1)

Na Morzu Czerwonym gorąco. Wszyscy chodzimy rozebrani do pasa. Powierzchnia Oceanu Indyjskiego jest jak lustro. Znow przed dziobem statku igrają rozbawione delfiny. Od czasu do czasu fontanna wody zdradza blisko statku obecność kaszalota.

Codziennie rano bosman zbiera latające ryby. Ładniejsze okazy wyprawiamy i konserwujemy, pozostałe zasilają naszą kuchnię.

Nocami oglądamy gwiazdziste niebo. Tutaj po raz pierwszy zobaczyłem Krzyż Południa, który jest w Polsce niewidoczny. Wskazuje on żeglarzom Biegum Południowy.

Woda ma temperaturę około 30° C! Nocą za rufą statku pozostaje fluoryzująca smuga.

W ciche, spokojne wieczory siadamy na pokładzie. Jedni zwracają się myślą do swoich najbliższych, inni robią śmiałe plany na przyszłość.

Warunki pracy są coraz cięższe. Dokucza upał. Załoga w wolnych chwilach gra w szachy, uczy się, czyta książki lub kąpie się pod zmasztrowanym przez mechaników natryskiem.

Codzienny rytmiczny tok zajęć przerywają urządzane próbne alarmy przeciwpożarowe, „człowiek za burtą!”, szalupowe. Marynarz w każdej chwili musi być gotów do walki z żywiołem w obronie statku, ładunku i własnego życia.

Już od przeszło trzech tygodni nie byliśmy na lądzie. Z radością więc powitaliśmy majaczący na horyzoncie ląd. To Indie.

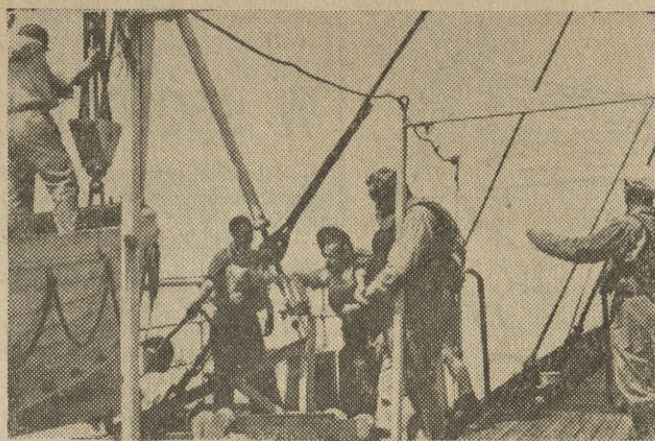
Nasz pokładowy radiowóz gra kujawiaka. Na nadbrzeżu czeka tłum ludzi. Polskie statki są tutaj doskonale znane. Obdarzyli bosi cumownik krzyczy coś do nas łamaną angielszczyzną. Nie możemy go zrozumieć. Jest za daleko. Podbiega do burty i mówi: „Batory! Batory!”.

Rzeczywiście. Po dwu godzinach stanął za nami nasz flagowy statek „Batory”, który z dalekiej Europy przywiózł do Karachi i Bombaju setki pasażerów i drobnicę.

Od agenta dowiedzieliśmy się, że w ciągu kilkunastu godzin przyjdzie jeszcze statek M/S Waryński oraz M/S Hugo Kollataj, który z Chin Ludowych wraca do Polski i po drodze zabiera jakiś ładunek.

Na nadbrzeżu rozbrzmiewa wesoła polska mowa, w porcie odbijają się echem śpiewane przez marynarzy polskie piosenki.

HENRYK ZALEWSKI



Na pełnym morzu gotowość do alarmu — obowiązuje. Co pewien czas na M/S „General Walter” przeprowadza się ćwiczenia. Fot. autora

Dobroczynna siła atomu

„TIN ROSKOSZI NE WIDAŁ, CHTO KARTOSZKI NE JIDAŁ...” — MAWIĄJA LUDZIE NA BIALORUSI, CHCĄC W SPOSÓB ŻARTOBLIWI PODKREŚLIĆ SMAK ZIEMNIAKÓW, TEGO JODZIENNEGO POŻYWIENIA, KTÓRE SIĘ NIGDY NIE PRZEJE.

W powiedzeniu tym jest niewątpliwie dużo racji, zwłaszcza gdy na jesieni ziemniaki są świeże i sypkie, ale wiosną i latem mamy pewne zastrzeżenia, a przede wszystkim pretekst do ziemniaka, że chce mu się w ciemnej piwnicy wypuszczać pędy i przez to tracić smak i apetyczny wygląd.

Apetyczne... promieniowanie

Mamy pretensje, ale w przyszłości chyba nie będziemy ich mieli, bo przeciwko tym ziemniaczanym „chętcom” znalazła nową „broń” — atomową! Oto badania przeprowadzone w radzieckim Wszczęziwiązkowym Instytucie Naukowo-Badawczym Przemysłu Konserwowego wykazały, że jeśli naświetlić ziemniak radioaktywnym kobaltem, to można go przechowywać około 9 miesięcy, do gorącej lipca, a pozostaje soczystym i świeżym, jak gdyby tylko co był wykopany z ziemi.

W myśl zasady, że „nie samymi ziemniakami człowiek żyje”, dokonano także w Instytucie prób naświetlania ziemniaków radioaktywnymi cebulami, marchwiami i innymi jarzynami. Rezultaty były również pomyślne.

Osiągnięcia fizyki jądrowej odkrywają szerokie możliwości w wielu gałęziach przemysłu spożywczego, a szczególnie — konserwowego. Dotychczas, chcąc otrzymać konserwy dobre zabezpieczone przed zepsuceniem, należało poddać je sterylizacji przy pomocy wysokiej temperatury, która nie zawsze korzystnie wpływała na naturalny wygląd, smak i aromat świeżych jarzyn, owoców i innych produktów. W Instytucie Przemysłu Konserwowego opracowano technologię sterylizacji — bez żadnego nagrzewania. W potężnym strumieniu promieni wysyłanych przez ciała radioaktywne proces ten dokonuje się bardzo szybko. Wystarczy kilka sekund, by otrzymać sterylizowane masło, ryby, owoce w słoikach czy metalo-

wych puszkach. Konserwy takie zachowują naturalny kolor i wszystkie właściwości świeżych wyrobów spożywczych.

Potokowy brakarz radioaktywny

Wykorzystanie w Związku Radzieckim energii atomowej dla celów pokojowych przyniosło już poważne rezultaty i w przemyśle metalowym, gdzie m.in. z gruntu zmieniły się wszystkie dotychczasowe pojęcia o kontroli jakości metalu. Okazuje się bowiem, że radioaktywnym kobaltem można prześwietlić stal i części metalowe o grubości do 200 milimetrów! A przy tym koszt takiego kobaltu jest kilka tysięcy razy mniejszy niż radu. Równie ważną jest i to, że można mieć taką ilość radioaktywnego kobaltu, która całkowicie zabezpieczy potrzeby przemysłu. Z jego pomocą szybko kontroluje się jakość kotłów do parowozów, części instalacji parowych i elektrycznych, spawanych kadłubów pieców hutniczych, różnego rodzaju odlewów. Radioaktywny kobalt „kontroluje” wyroby metalowe w sposób niezawodny, a dzięki temu wyklucza możliwości awarii podczas ich eksploatacji.

W instytutach naukowo-badawczych Moskwy, Leningradu, Rygi i innych miast, konstruowano ostatnio urządzenia dla potokowej „kontroli radioaktywnej” wyrobów w trakcie produkcji.

Medycyna zaczęła używać

Coraz częściej stosuje się w ZSRR promieniotwórcze izotopy różnych pierwiastków dla poznania procesów zachodzących w metalach i stopach. Stosuje się nowe metody dla zbadania reakcji fizyko-chemicznych w produkcji metali dla udoskonalenia chemicznej ich analizy. Energia atomowa dała możliwość rozstrzygnięcia takich problemów naukowych, których przedtem nie można było rozwiązać.

Wypowiedzi uczonych radzieckich na temat zastosowania energii atomowej dla potrzeb człowieka obejmują również dotychczasowe osiągnięcia w medycynie. Szczególnie pomocne są ciała promieniotwórcze w diagnostyce — nauce rozpoznawania chorób. Np. wprowadzenie do organizmu znikomej ilości radioaktywnego żelaza i obserwowanie pojawiania się jego w składzie czerwonych ciałek krwi pozwala ustalić, jak i z jaką prędkością odbywa się tworzenie hemoglobiny, co z kolei umożliwia ustalenie przyczyn niedokrwistości.

Ciekawą i bardzo ważną zdobyczą w medycynie jest możliwość obserwowania pewnych atomów znajdujących się w transfudowanej krwi. Dzięki temu krew wtłoczona przy transfuzji jak gdyby wyodrębniła się a uczeni mogą stwierdzić długość „życia” erytrocytów tej krwi w zależności od sposobu konserwacji jej i przechowywania.

Nowe metody pozwalają obserwować bezpośrednio przemianę materii w sposób ciągły i bez żadnych analiz chemicznych. Np. w wypadku zaburzeń czynności tarczycy, po wprowadzeniu do organizmu radioaktywnego jodu, przykłada się do szyi chorego licznik rejestrujący promieniowanie, który niezbędnie sygnalizuje ukryte procesy przemiany materii w tarczycy.

A. BARSILIO

M. Ł.

KIM BYŁ ANONIM ZWANY GALLEM?

Urokiem tajemniczości osłonięta jest postać najstarszego kronikarza Polski — Anonima Galla, który żył za panowania Bolesława Krzywoustego. Uczeń polscy gubią się w domysłach co do jego pochodzenia. Dotychczas przeważała teza o jego francuskim pochodzeniu, wiążąca się z przyswojoną mu nazwą Galla. Przemawia za tym widoczna w „Kronice” Galla znajomość Francji. Sam siebie tajemniczy mnich nazywał wygnańcem, pochodzącym ze znakomitego rodu rycerskiego.

Z konkretnych, niezbitych faktów wiemy o Anonimie Gallu, że był pisarzem w kancelarii kanclerza księcia Michała Awdanica za panowania Bolesława Krzywoustego i zwyczajem ówczesnym cudzoziemskim skrybą duchownym. Do dnia dzisiejszego nie rozwiązali historycy polscy zagadki pochodzenia Anonima, głównie z powodu irytującego, nikłego materiału źródłowego.

O rozwiązanie tej zagadki pokusił się obecnie znakomity historyk czeski — F. M. Bartosz w rozprawie pt. „Najstarsi polscy kronikarze a ich ceski puvod”. Stawia on zdecydowanie hipotezę, że Anonim Gall jest w rzeczywistości arcybiskupem gnieźnieńskim — Jakubem ze Żnina. Omawiając tę pracę na łamach ostatniego zeszytu — „Przeglądu Zachodniego” (nr 11—12 r. 1954), młody historyk polski — Tadeusz Witczak pisze, że punkt wyjścia rozumowania F. M. Bartosza stanowi spostrzeżenie Aleksandra Brücknera, że szereg imion i nazw miejscowych ma w „Kronice” brzmienie czeskie. Komentatorzy polscy nie zdołali tego wyjaśnić. Historyk czeski, opierając się na badaniach heraldycznych Semkowicza, dotyczących rodu Pałuków, którzy mają być jego zdaniem, w prostej linii przedłużeniem rodu czeskiego Slavnikowiców, osiadłego na wielkopolskich Pałukach, po wyemigracji z Czech, ułożenia Anonima Galla z arcybiskupem — Jakubem ze Żnina.

Bartosz dopatruje się podobieństwa między Jakubem i Anonimem w podobnym o bydwu zrozumieniu wagi spraw państwowych. Obfitość materiału w „Kronice”, dotyczącego Pomorza, historyk czeski tłumaczy rozumianą troską o bezpieczeństwo Pałuk, na których csiedlił się ród czeski i przybrał nazwisko Pałuków.

I jeszcze w jednym widzi Bartosz podobieństwo między Anonimem a Jakubem ze Żnina. Arcybiskup gnieźnieński napisał Antyfonę na cześć św. Wojciecha, członka swego rodu, formalnie identyczną z wierszami „Kroniki” galowej.

Autor krytycznych uwag o rozprawie czeskiego historyka T. Witczak nie podziela hipotezy Bartosza o czeskim pochodzeniu Anonima i ułożeniu go z Jakubem ze Żnina. Zdaniem autora, najnowsze studia nad Gallem dają ustawicznie w głąb głównie tezę francuska. Twórca „Kroniki” — Anonim, był bezspornie we Francji, czego dowodzi znajomość tego kraju, stamtąd dotarł do klasztoru samogwarskiego na Węgrzech, do którego przyjął, wano podówczas wyłącznie Francuzów. Czech, jakim ma być według historyka Bartosza Anonim, nie mógł być przyjęty do tego klasztoru.

Argumentacja Tadeusza Witczaka przeciwko tezie czeskiej nie jest sformułowana, jednak dobitnie przekonywająca. Autor nie rozwijał tezy francuskiej należycie i nie dostarczył dość przekonujących kontrargumentów. Sam zresztą przypuszcza, że „być może” pojawiają się jeszcze głosy, broniące tezy Bartosza.

Śmiała hipoteza historyka czeskiego pociąga nagromadzeniem przesłanek i sugestii za tożsamością Jakuba ze Żnina z Anonimem. Historiografia ani polska, ani czeska nie wypowiedziała w sprawie tajemniczego mnicha „Anonima swego ostatniego słowa”.

H. BARAŃSKI



W HISPANII

— Od kiedy dostajemy amerykańską broń, walka byków stała się mniej interesująca...

(Die Weltwoche)

Z chińskich baśni ludowych

O czarnym złotwie i uczone

Ku, uczonego drugiego stopnia, wyruszył do Pekinu, aby zdać egzamin na uczonego pierwszego stopnia. Podczas wędrówki dotarł do brzegu olbrzymiej rzeki. Jak okiem sięgnąć, nie było widać mostu ani przevoznika, a nasz uczonego nie umiał pływać. Wędrując brzegiem rzeki, Ku napotkał olbrzymiego czarnego złotwie.

— Bracie mój, czarny złotwie! — powiedział z szacunkiem. — Czy nie mógłbyś przewieźć mnie na drugi brzeg rzeki?

— Z przyjemnością — powiedział złotwie. — W zamian za to ty podzielisz się ze mną swoją mądrością.

— Niech i tak będzie — odparł Ku. — Powiem ci jedną ze swoich złotych myśli. Do końca życia jednak na tamtym brzegu.

— Zgadzasz się — odparł złotwie.

I wtedy Ku zaczął:

Czyż są na świecie więksi przyjaciele niż para gołąbków?

Czyż jest na świecie coś bardziej błyszczącego niż światlik?... Zaciekawiony złotwie przepłynął szybko uczonego na drugą stronę rzeki. Jak tylko Ku stanął na twardym gruncie, skończył maksymę:

Czyż jest na świecie bardziej gadatliwie stworzenie niż sroka? Czyż jest na świecie bardziej głupie stworzenie niż czarny złotwie?

Od tego czasu złotwie, chociaż w dalszym ciągu lubią maksymy i szanują mądrość, nie pomagają żadnym podróżnym.

(Przeł. z ros. J. Księski)



— Najmocniej przepraszam — czy może mi pan wskazać drogę do portu?

MIK

W spółdzielni usługowej

— Bardzo przepraszam, czy to spółdzielczy punkt usługowy nr 7?

— Tutaj. Tylko że nie nr 7, lecz 12.

— Aha. Być może. Ale zamówienia jeszcze przyjmujecie?

— Owszem, przyjmujemy. Dlaczego mielibyśmy nie przyjmować?

— No, sądziłem, że macie teraz dużo pracy. Sezon za pasem...

— Ee, sezon, nie sezon, roboty zawsze jest.

— Bo to właściwie ma być nie dla mnie. Dla ojca.

— Aha.

— Chodziłoby mi o jakiś lepszy materiał.

— Proszę się nie obawiać. Zamówienia wykonujemy z bardzo trwałych materiałów. Wszyscy nasi odbiorcy byli dotychczas zadowoleni.

— Kolor może być ciemniejszy, poważny. Ojciec starszy człowiek, nieprawda...

— Słusznie. Zresztą mamy tylko dwa kolory: ciemny brąz i czarny.

— A jak będzie z dodatkami? Dostarczyć, czy sami dajecie?

— Proszę niczego nie przynosić. Wszystko co trzeba, damy.

— Świetnie. Więc kiedy pierwsza przymiarka?

— Jaka przymiarka? Pan będzie łaskaw podać wzrost ojca i sprawę załatwioną.

— Wystarczy?

— Najzupełniej!

— Widocznie macie dobrych fachowców.

— Owszem, nie można narzekać.

— Bo to w innych zakładach, pan wie, najpierw jedna przymiarka, potem druga, a czasem jeszcze poprawki przy odbiorze.

— Nie, u nas tego nie ma. Może pan być pewien. Żaden z naszych klientów dotychczas się nie skarżył...

— Więc kiedy można przyjść po odbiór?

— Jeśli trzeba, to i za dwa dni.

— Za dwa dni? Nie, pan chyba żartuje.

— Nie podobnego

— Może to tylko taka obieranka? Potem, jak się przyjdzie, to będzie jeszcze nie gotowe. Miałem już takie wypadki.

— Proszę być zupełnie spokojnym. Parodniowy termin wykonania, to u nas normalna rzecz. Zresztą, powtarzam: Nie było jeszcze wypadku, by którykolwiek z naszych klientów składał zażalenie.

— W takim razie pojutrze odbiorę.

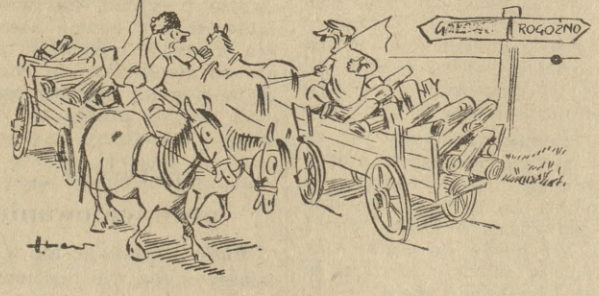
— Och, nie potrzebuje się pan osobiście fatygować. Dostarczymy na miejsce.

— Nie, to naprawdę fenomenalne! Wy chyba jesteście jedynym zakładem w naszym mieście, który tak wszechstronnie potrafi obsłużyć klienta. Od dziś będę sobie szył ubrania tylko u was.

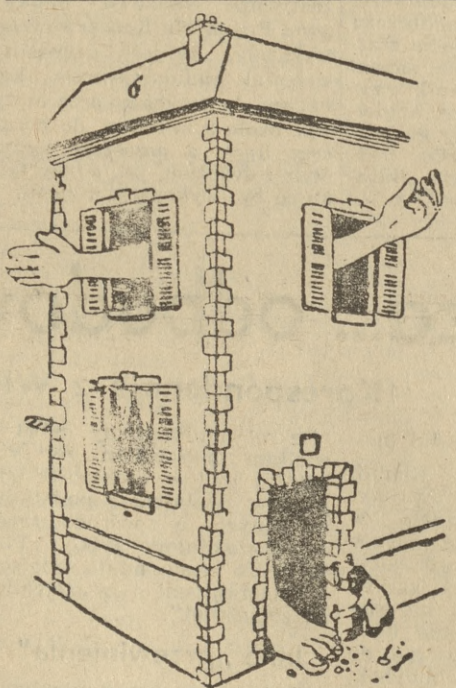
— Nie szyjemy żadnych ubrań.

— Jak to? Przecież to krajecki punkt usługowy?

— Pan szanowny się pomylił. Tutaj jest spółdzielnia usług pogrzebowych „Ozdoba”.



Chłopi z Gołaszewa (pow. wągrowiecki) otrzymują przydział drzewa, po które muszą jeździć w okolice Rogoźna — i odwrotnie.



Podobno jeden z rzeźbiarzy poznańskich przygotowuje projekt pomnika Mickiewicza...

PASKOERGIA

O alergii słyszałem, o paskoergii nie. Ale przekonałem się, że to też jest choroba.

Wczoraj mieliśmy przyjemną uroczystość: dokonaliśmy otwarcia zakładowego klubu. Mówię wam: śliczny, wygodnie umeblowany. Na ścianach obrazy znanych w mieście artystów-malarzy, w kącie wygodne fotele, luksusowy odbiornik radiowy, adapter półki z książkami, czasopisma (aktualne!), szachy, czarna kawa — powtarzam, prześliczny klub.

Na otwarcie klubu zjawiłem się jako jeden z pierwszych; po kwadransie zeszło się chyba pięćdziesiąt osób.

Siedziałem w fotelu i przeglądałem czasopisma. W pewnej chwili poczułem, że coś się ze mną dzieje niedobrego. Przecież wiem, że siedzę, a jednak widzę siebie stojącego w drugim końcu sali. Przecieram oczy... Jak to, dopiero wchodzę do klubu? Wyraźnie widzę, że witam się z Zosią. Straszne uczucie. Czyżby jakieś uczulenie? Przecież wyraźnie siedzę w fotelu. Nie, nie, siedzę — kręcę gałką radiową. Maligna, kuku na muniu, mente captus, ptapy w głowie, czy co? Wargi zaczęły mi drżeć i chyba byłam blada. A jednak siedziałem, mimo że przed sekundą widziałem siebie uchylającego okno.

Skądże, przecież to okno jest zamknięte! Rany boskie, katastrofa, stan beznadziejny. Tworci mrowiane.

Po kwadransie zrozumiałem wszystko. To były pierwsze objawy paskoergii. Posłuchajcie:

Stefan, Jakub, dyrektor, mechanik Józef, Zenek z księgowości, Wojtek, Kaziu, ten blondyn, co od wczoraj dopiero u nas pracuje. Jakubowski i ja — wszyscy zjawił się w klubie w naszych najlepszych ubraniach: granatowych w paseczki. (thn)



— Nie bój się, głupia, w marcu ma on inne rzeczy na głowie! Rys. Lengren

SWIETO KOBIET

1953 r. obn. 1954 r. obn. 1955 r. obn. 1956 r. obn. 1957 r. obn. 1958 r. obn. 1959 r. obn. 1960 r. obn. 1961 r. obn. 1962 r. obn. 1963 r. obn. 1964 r. obn. 1965 r. obn. 1966 r. obn. 1967 r. obn. 1968 r. obn. 1969 r. obn. 1970 r. obn. 1971 r. obn. 1972 r. obn. 1973 r. obn. 1974 r. obn. 1975 r. obn. 1976 r. obn. 1977 r. obn. 1978 r. obn. 1979 r. obn. 1980 r. obn. 1981 r. obn. 1982 r. obn. 1983 r. obn. 1984 r. obn. 1985 r. obn. 1986 r. obn. 1987 r. obn. 1988 r. obn. 1989 r. obn. 1990 r. obn. 1991 r. obn. 1992 r. obn. 1993 r. obn. 1994 r. obn. 1995 r. obn. 1996 r. obn. 1997 r. obn. 1998 r. obn. 1999 r. obn. 2000 r. obn. 2001 r. obn. 2002 r. obn. 2003 r. obn. 2004 r. obn. 2005 r. obn. 2006 r. obn. 2007 r. obn. 2008 r. obn. 2009 r. obn. 2010 r. obn. 2011 r. obn. 2012 r. obn. 2013 r. obn. 2014 r. obn. 2015 r. obn. 2016 r. obn. 2017 r. obn. 2018 r. obn. 2019 r. obn. 2020 r. obn. 2021 r. obn. 2022 r. obn. 2023 r. obn. 2024 r. obn. 2025 r. obn. 2026 r. obn. 2027 r. obn. 2028 r. obn. 2029 r. obn. 2030 r. obn. 2031 r. obn. 2032 r. obn. 2033 r. obn. 2034 r. obn. 2035 r. obn. 2036 r. obn. 2037 r. obn. 2038 r. obn. 2039 r. obn. 2040 r. obn. 2041 r. obn. 2042 r. obn. 2043 r. obn. 2044 r. obn. 2045 r. obn. 2046 r. obn. 2047 r. obn. 2048 r. obn. 2049 r. obn. 2050 r. obn. 2051 r. obn. 2052 r. obn. 2053 r. obn. 2054 r. obn. 2055 r. obn. 2056 r. obn. 2057 r. obn. 2058 r. obn. 2059 r. obn. 2060 r. obn. 2061 r. obn. 2062 r. obn. 2063 r. obn. 2064 r. obn. 2065 r. obn. 2066 r. obn. 2067 r. obn. 2068 r. obn. 2069 r. obn. 2070 r. obn. 2071 r. obn. 2072 r. obn. 2073 r. obn. 2074 r. obn. 2075 r. obn. 2076 r. obn. 2077 r. obn. 2078 r. obn. 2079 r. obn. 2080 r. obn. 2081 r. obn. 2082 r. obn. 2083 r. obn. 2084 r. obn. 2085 r. obn. 2086 r. obn. 2087 r. obn. 2088 r. obn. 2089 r. obn. 2090 r. obn. 2091 r. obn. 2092 r. obn. 2093 r. obn. 2094 r. obn. 2095 r. obn. 2096 r. obn. 2097 r. obn. 2098 r. obn. 2099 r. obn. 2100 r. obn. 2101 r. obn. 2102 r. obn. 2103 r. obn. 2104 r. obn. 2105 r. obn. 2106 r. obn. 2107 r. obn. 2108 r. obn. 2109 r. obn. 2110 r. obn. 2111 r. obn. 2112 r. obn. 2113 r. obn. 2114 r. obn. 2115 r. obn. 2116 r. obn. 2117 r. obn. 2118 r. obn. 2119 r. obn. 2120 r. obn. 2121 r. obn. 2122 r. obn. 2123 r. obn. 2124 r. obn. 2125 r. obn. 2126 r. obn. 2127 r. obn. 2128 r. obn. 2129 r. obn. 2130 r. obn. 2131 r. obn. 2132 r. obn. 2133 r. obn. 2134 r. obn. 2135 r. obn. 2136 r. obn. 2137 r. obn. 2138 r. obn. 2139 r. obn. 2140 r. obn. 2141 r. obn. 2142 r. obn. 2143 r. obn. 2144 r. obn. 2145 r. obn. 2146 r. obn. 2147 r. obn. 2148 r. obn. 2149 r. obn. 2150 r. obn. 2151 r. obn. 2152 r. obn. 2153 r. obn. 2154 r. obn. 2155 r. obn. 2156 r. obn. 2157 r. obn. 2158 r. obn. 2159 r. obn. 2160 r. obn. 2161 r. obn. 2162 r. obn. 2163 r. obn. 2164 r. obn. 2165 r. obn. 2166 r. obn. 2167 r. obn. 2168 r. obn. 2169 r. obn. 2170 r. obn. 2171 r. obn. 2172 r. obn. 2173 r. obn. 2174 r. obn. 2175 r. obn. 2176 r. obn. 2177 r. obn. 2178 r. obn. 2179 r. obn. 2180 r. obn. 2181 r. obn. 2182 r. obn. 2183 r. obn. 2184 r. obn. 2185 r. obn. 2186 r. obn. 2187 r. obn. 2188 r. obn. 2189 r. obn. 2190 r. obn. 2191 r. obn. 2192 r. obn. 2193 r. obn. 2194 r. obn. 2195 r. obn. 2196 r. obn. 2197 r. obn. 2198 r. obn. 2199 r. obn. 2200 r. obn. 2201 r. obn. 2202 r. obn. 2203 r. obn. 2204 r. obn. 2205 r. obn. 2206 r. obn. 2207 r. obn. 2208 r. obn. 2209 r. obn. 2210 r. obn. 2211 r. obn. 2212 r. obn. 2213 r. obn. 2214 r. obn. 2215 r. obn. 2216 r. obn. 2217 r. obn. 2218 r. obn. 2219 r. obn. 2220 r. obn. 2221 r. obn. 2222 r. obn. 2223 r. obn. 2224 r. obn. 2225 r. obn. 2226 r. obn. 2227 r. obn. 2228 r. obn. 2229 r. obn. 2230 r. obn. 2231 r. obn. 2232 r. obn. 2233 r. obn. 2234 r. obn. 2235 r. obn. 2236 r. obn. 2237 r. obn. 2238 r. obn. 2239 r. obn. 2240 r. obn. 2241 r. obn. 2242 r. obn. 2243 r. obn. 2244 r. obn. 2245 r. obn. 2246 r. obn. 2247 r. obn. 2248 r. obn. 2249 r. obn. 2250 r. obn. 2251 r. obn. 2252 r. obn. 2253 r. obn. 2254 r. obn. 2255 r. obn. 2256 r. obn. 2257 r. obn. 2258 r. obn. 2259 r. obn. 2260 r. obn. 2261 r. obn. 2262 r. obn. 2263 r. obn. 2264 r. obn. 2265 r. obn. 2266 r. obn. 2267 r. obn. 2268 r. obn. 2269 r. obn. 2270 r. obn. 2271 r. obn. 2272 r. obn. 2273 r. obn. 2274 r. obn. 2275 r. obn. 2276 r. obn. 2277 r. obn. 2278 r. obn. 2279 r. obn. 2280 r. obn. 2281 r. obn. 2282 r. obn. 2283 r. obn. 2284 r. obn. 2285 r. obn. 2286 r. obn. 2287 r. obn. 2288 r. obn. 2289 r. obn. 2290 r. obn. 2291 r. obn. 2292 r. obn. 2293 r. obn. 2294 r. obn. 2295 r. obn. 2296 r. obn. 2297 r. obn. 2298 r. obn. 2299 r. obn. 2300 r. obn. 2301 r. obn. 2302 r. obn. 2303 r. obn. 2304 r. obn. 2305 r. obn. 2306 r. obn. 2307 r. obn. 2308 r. obn. 2309 r. obn. 2310 r. obn. 2311 r. obn. 2312 r. obn. 2313 r. obn. 2314 r. obn. 2315 r. obn. 2316 r. obn. 2317 r. obn. 2318 r. obn. 2319 r. obn. 2320 r. obn. 2321 r. obn. 2322 r. obn. 2323 r. obn. 2324 r. obn. 2325 r. obn. 2326 r. obn. 2327 r. obn. 2328 r. obn. 2329 r. obn. 2330 r. obn. 2331 r. obn. 2332 r. obn. 2333 r. obn. 2334 r. obn. 2335 r. obn. 2336 r. obn. 2337 r. obn. 2338 r. obn. 2339 r. obn. 2340 r. obn. 2341 r. obn. 2342 r. obn. 2343 r. obn. 2344 r. obn. 2345 r. obn. 2346 r. obn. 2347 r. obn. 2348 r. obn. 2349 r. obn. 2350 r. obn. 2351 r. obn. 2352 r. obn. 2353 r. obn. 2354 r. obn. 2355 r. obn. 2356 r. obn. 2357 r. obn. 2358 r. obn. 2359 r. obn. 2360 r. obn. 2361 r. obn. 2362 r. obn. 2363 r. obn. 2364 r. obn. 2365 r. obn. 2366 r. obn. 2367 r. obn. 2368 r. obn. 2369 r. obn. 2370 r. obn. 2371 r. obn. 2372 r. obn. 2373 r. obn. 2374 r. obn. 2375 r. obn. 2376 r. obn. 2377 r. obn. 2378 r. obn. 2379 r. obn. 2380 r. obn. 2381 r. obn. 2382 r. obn. 2383 r. obn. 2384 r. obn. 2385 r. obn. 2386 r. obn. 2387 r. obn. 2388 r. obn. 2389 r. obn. 2390 r. obn. 2391 r. obn. 2392 r. obn. 2393 r. obn. 2394 r. obn. 2395 r. obn. 2396 r. obn. 2397 r. obn. 2398 r. obn. 2399 r. obn. 2400 r. obn. 2401 r. obn. 2402 r. obn. 2403 r. obn. 2404 r. obn. 2405 r. obn. 2406 r. obn. 2407 r. obn. 2408 r. obn. 2409 r. obn. 2410 r. obn. 2411 r. obn. 2412 r. obn. 2413 r. obn. 2414 r. obn. 2415 r. obn. 2416 r. obn. 2417 r. obn. 2418 r. obn. 2419 r. obn. 2420 r. obn. 2421 r. obn. 2422 r. obn. 2423 r. obn. 2424 r. obn. 2425 r. obn. 2426 r. obn. 2427 r. obn. 2428 r. obn. 2429 r. obn. 2430 r. obn. 2431 r. obn. 2432 r. obn. 2433 r. obn. 2434 r. obn. 2435 r. obn. 2436 r. obn. 2437 r. obn. 2438 r. obn. 2439 r. obn. 2440 r. obn. 2441 r. obn. 2442 r. obn. 2443 r. obn. 2444 r. obn. 2445 r. obn. 2446 r. obn. 2447 r. obn. 2448 r. obn. 2449 r. obn. 2450 r. obn. 2451 r. obn. 2452 r. obn. 2453 r. obn. 2454 r. obn. 2455 r. obn. 2456 r. obn. 2457 r. obn. 2458 r. obn. 2459 r. obn. 2460 r. obn. 2461 r. obn. 2462 r. obn. 2463 r. obn. 2464 r. obn. 2465 r. obn. 2466 r. obn. 2467 r. obn. 2468 r. obn. 2469 r. obn. 2470 r. obn. 2471 r. obn. 2472 r. obn. 2473 r. obn. 2474 r. obn. 2475 r. obn. 2476 r. obn. 2477 r. obn. 2478 r. obn. 2479 r. obn. 2480 r. obn. 2481 r. obn. 2482 r. obn. 2483 r. obn. 2484 r. obn. 2485 r. obn. 2486 r. obn. 2487 r. obn. 2488 r. obn. 2489 r. obn. 2490 r. obn. 2491 r. obn. 2492 r. obn. 2493 r. obn. 2494 r. obn. 2495 r. obn. 2496 r. obn. 2497 r. obn. 2498 r. obn. 2499 r. obn. 2500 r. obn. 2501 r. obn. 2502 r. obn. 2503 r. obn. 2504 r. obn. 2505 r. obn. 2506 r. obn. 2507 r. obn. 2508 r. obn. 2509 r. obn. 2510 r. obn. 2511 r. obn. 2512 r. obn. 2513 r. obn. 2514 r. obn. 2515 r. obn. 2516 r. obn. 2517 r. obn. 2518 r. obn. 2519 r. obn. 2520 r. obn. 2521 r. obn. 2522 r. obn. 2523 r. obn. 2524 r. obn. 2525 r. obn. 2526 r. obn. 2527 r. obn. 2528 r. obn. 2529 r. obn. 2530 r. obn. 2531 r. obn. 2532 r. obn. 2533 r. obn. 2534 r. obn. 2535 r. obn. 2536 r. obn. 2537 r. obn. 2538 r. obn. 2539 r. obn. 2540 r. obn. 2541 r. obn. 2542 r. obn. 2543 r. obn. 2544 r. obn. 2545 r. obn. 2546 r. obn. 2547 r. obn. 2548 r. obn. 2549 r. obn. 2550 r. obn. 2551 r. obn. 2552 r. obn. 2553 r. obn. 2554 r. obn. 2555 r. obn. 2556 r. obn. 2557 r. obn. 2558 r. obn. 2559 r. obn. 2560 r. obn. 2561 r. obn. 2562 r. obn. 2563 r. obn. 2564 r. obn. 2565 r. obn. 2566 r. obn. 2567 r. obn. 2568 r. obn. 2569 r. obn. 2570 r. obn. 2571 r. obn. 2572 r. obn. 2573 r. obn. 2574 r. obn. 2575 r. obn. 2576 r. obn. 2577 r. obn. 2578 r. obn. 2579 r. obn. 2580 r. obn. 2581 r. obn. 2582 r. obn. 2583 r. obn. 2584 r. obn. 2585 r. obn. 2586 r. obn. 2587 r. obn. 2588 r. obn. 2589 r. obn. 2590 r. obn. 2591 r. obn. 2592 r. obn. 2593 r. obn. 2594 r. obn. 2595 r. obn. 2596 r. obn. 2597 r. obn. 2598 r. obn. 2599 r. obn. 2600 r. obn. 2601 r. obn. 2602 r. obn. 2603 r. obn. 2604 r. obn. 2605 r. obn. 2606 r. obn. 2607 r. obn. 2608 r. obn. 2609 r. obn. 2610 r. obn. 2611 r. obn. 2612 r. obn. 2613 r. obn. 2614 r. obn. 2615 r. obn. 2616 r. obn. 2617 r. obn. 2618 r. obn. 2619 r. obn. 2620 r. obn. 2621 r. obn. 2622 r. obn. 2623 r. obn. 2624 r. obn. 2625 r. obn. 2626 r. obn. 2627 r. obn. 2628 r. obn. 2629 r. obn. 2630 r. obn. 2631 r. obn. 2632 r. obn. 2633 r. obn. 2634 r. obn. 2635 r. obn. 2636 r. obn. 2637 r. obn. 2638 r. obn. 2639 r. obn. 2640 r. obn. 2641 r. obn. 2642 r. obn. 2643 r. obn. 2644 r. obn. 2645 r. obn. 2646 r. obn. 2647 r. obn. 2648 r. obn. 2649 r. obn. 2650 r. obn. 2651 r. obn. 2652 r. obn. 2653 r. obn. 2654 r. obn. 2655 r. obn. 2656 r. obn. 2657 r. obn. 2658 r. obn. 2659 r. obn. 2660 r. obn. 2661 r. obn. 2662 r. obn. 2663 r. obn. 2664 r. obn. 2665 r. obn. 2666 r. obn. 2667 r. obn. 2668 r. obn. 2669 r. obn. 2670 r. obn. 2671 r. obn. 2672 r. obn. 2673 r. obn. 2674 r. obn. 2675 r. obn. 2676 r. obn. 2677 r. obn. 2678 r. obn. 2679 r. obn. 2680 r. obn. 2681 r. obn. 2682 r. obn. 2683 r. obn. 2684 r. obn. 2685 r. obn. 2686 r. obn. 2687 r. obn. 2688 r. obn. 2689 r. obn. 2690 r. obn. 2691 r. obn. 2692 r. obn. 2693 r. obn. 2694 r. obn. 2695 r. obn. 2696 r. obn. 2697 r. obn. 2698 r. obn. 2699 r. obn. 2700 r. obn. 2701 r. obn. 2702 r. obn. 2703 r. obn. 2704 r. obn. 2705 r. obn. 2706 r. obn. 2707 r. obn. 2708 r. obn. 2709 r. obn. 2710 r. obn. 2711 r. obn. 2712 r. obn. 2713 r. obn. 2714 r. obn. 2715 r. obn. 2716 r. obn. 2717 r. obn. 2718 r. obn. 2719 r. obn. 2720 r. obn. 2721 r. obn. 2722 r. obn. 2723 r. obn. 2724 r. obn. 2725 r. obn. 2726 r. obn. 2727 r. obn. 2728 r. obn. 2729 r. obn. 2730 r. obn. 2731 r. obn. 2732 r. obn. 2733 r. obn. 2734 r. obn. 2735 r. obn. 2736 r. obn. 2737 r. obn. 2738 r. obn. 2739 r. obn. 2740 r. obn. 2741 r. obn. 2742 r. obn. 2743 r. obn. 2744 r. obn. 2745 r. obn. 2746 r. obn. 2747 r. obn. 2748 r. obn. 2749 r. obn. 2750 r. obn. 2751 r. obn. 2752 r. obn. 2753 r. obn. 2754 r. obn. 2755 r. obn. 2756 r. obn. 2757 r. obn. 2758 r. obn. 2759 r. obn. 2760 r. obn. 2761 r. obn. 2762 r. obn. 2763 r. obn. 2764 r. obn. 2765 r. obn. 2766 r. obn. 2767 r. obn. 2768 r. obn. 2769 r. obn. 2770 r. obn. 2771 r. obn. 2772 r. obn. 2773 r. obn. 2774 r. obn. 2775 r. obn. 2776 r. obn. 2777 r. obn. 2778 r. obn. 2779 r. obn. 2780 r. obn. 2781 r. obn. 2782 r. obn. 2783 r. obn. 2784 r. obn. 2785 r. obn. 2786 r. obn. 2787 r. obn. 2788 r. obn. 2789 r. obn. 2790 r. obn. 2791 r. obn. 2792 r. obn. 2793 r. obn. 2794 r. obn. 2795 r. obn. 2796 r. obn. 2797 r. obn. 2798 r. obn. 2799 r. obn. 2800 r. obn. 2801 r. obn. 2802 r. obn. 2803 r. obn. 2804 r. obn. 2805 r. obn. 2806 r. obn. 2807 r. obn. 2808 r. obn. 2809 r. obn. 2810 r. obn. 2811 r. obn. 2812 r. obn. 2813 r. obn. 2814 r. obn. 2815 r. obn. 2816 r. obn. 2817 r. obn. 2818 r. obn. 2819 r. obn. 2820 r. obn. 2821 r. obn. 2822 r. obn. 2823 r. obn. 2824 r. obn. 2825 r. obn. 2826 r. obn. 2827 r. obn. 2828 r. obn. 2829 r. obn. 2830 r. obn. 2831 r. obn. 2832 r. obn. 2833 r. obn. 2834 r. obn. 2835 r. obn. 2836 r. obn. 2837 r. obn. 2838 r. obn. 2839 r. obn. 2840 r. obn. 2841 r. obn. 2842 r. obn. 2843 r. obn. 2844 r. obn. 2845 r. obn. 2846 r. obn. 2847 r. obn. 2848 r. obn. 2849 r. obn. 2850 r. obn. 2851 r. obn. 2852 r. obn. 2853 r. obn. 2854 r. obn. 2855 r. obn. 2856 r. obn. 2857 r. obn. 2858 r. obn. 2859 r. obn. 2860 r. obn. 2861 r. obn. 2862 r. obn. 2863 r. obn. 2864 r. obn. 2865 r. obn. 2866 r. obn. 2867 r. obn. 2868 r. obn. 2869 r. obn. 2870 r. obn. 2871 r. obn. 2872 r. obn. 2873 r. obn. 2874 r. obn. 2875 r. obn. 2876 r. obn. 2877 r. obn. 2878 r. obn. 2879 r. obn. 2880 r. obn. 2881 r. obn. 2882 r. obn. 2883 r. obn. 2884 r. obn. 2885 r. obn. 2886 r. obn. 2887 r. obn. 2888 r. obn. 2889 r. obn. 2890 r. obn. 2891 r. obn. 2892 r. obn. 2893 r. obn. 2894 r. obn. 2895 r. obn. 2896 r. obn. 2897 r. obn. 2898 r. obn. 2899 r. obn. 2900 r. obn. 2901 r. obn. 2902 r. obn. 2903 r. obn. 2904 r. obn. 2905 r. obn. 2906